

*W Japonii, aby być dobrym mężem, wystarczy pozwolić żonie
zarabiać pieniądze i nie podnosić na nią ręki.
Żona zaś jest idealna, jeśli się nie odzywa.*



JOANNA TANAKA



DO OSTATNIEGO ZIARENKA RYŻU

Do ostatniego ziarenka ryżu to zebrane pod wspólnym tytułem luźne zapiski, które autorka prowadziła podczas trzyletniego pobytu w Japonii. Opisuje w nich małżeństwo z rodowitym Japończykiem oraz to, co w ich relacji – ludzi pochodzących z dwóch odmiennych światów, zaskoczyło i zszokowało zarówno ją samą, jak i jej męża. Dużo miejsca poświęca również podtokijskiej prowincji, na której przyszło jej żyć: ludziom, swojej pracy i nieoczekiwanym problemom.

Po przyjeździe do Kraju Kwitnącej Wiśni bohaterka szybko orientuje się, że musi radzić sobie sama i że tylko na sobie może polegać. W dzielnicy, w której prawie nikt nie zna języka angielskiego, musi podjąć wręcz nadludzki wysiłek, żeby skomunikować się z resztą społeczności, której obyczaje i zachowania nieustannie ją zaskakują i dziwią. W jej życiu zaczynają pojawiać się sytuacje, których się nie spodziewała, a także – niczym zjawy z horroru – osoby, których nigdy nie chciałaby spotkać. Bez pomocy, wsparcia, a czasem nawet zrozumienia ze strony najbliższego człowieka – czyli męża, podejmuje walkę o przetrwanie w zupełnie obcej dla siebie kulturze, starając się przeżyć każdy dzień jak najlepiej i dokończyć go niczym rozpoczęty posiłek: do ostatniego łyka zielonej herbaty, do ostatniego ziarenka ryżu.



JOANNA TANAKA

ur. w 1981 r. w Głogowie.

Po studiach zamieszkała w Australii. Tam zaprzyjaźniła się z pochodzącą z Japonii Ają, dzięki której poznała swojego obecnego męża – rodowitego Japończyka.

W 2016 r. wyjechała do Japonii, gdzie wyszła za mąż i zamieszkała na prowincji. W Kraju Kwitnącej Wiśni pracowała jako nauczycielka języka angielskiego oraz opiekunka do dzieci. Po trzech latach wróciła do Polski.

Jest miłośniczką słodczy i długich spacerów po lesie, na które zabiera ukochanego kundelka, który wabi się Kuma (w jęz. jap. Kuma znaczy „niedźwiedź”). Jej największe marzenie to dom na spokojnej i malowniczej podlaskiej wsi, z dala od dużego miasta.

PRZEJDŹ

do księgarni online:
www.sorus.pl


Sorus

Joanna Tanaka

**DO OSTATNIEGO
ZIARENKA
RYŻU**

**Czyli jak Polka
przetrwała w Japonii**



Poznań 2021

Redaktorka prowadząca

Agata Sikorska-Olszowa

Redakcja

Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki

Marcin Dolata

Skład

Travel & Design Miron Kokosiński

Copyright © by Joanna Tanaka 2021

Copyright © by Sorus 2021

Wydanie I

ISBN 978-83-66664-49-4 e-book

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

Wszystko, co opisałam w tej książce,
wydarzyło się naprawdę.

Spis treści

Początek.....	9
Ambasada.....	11
Ślub.....	18
Przygody z małżeńską wiza.....	27
Restauracje.....	34
Oczy mojej teściowej.....	41
Nasz dom.....	65
Nasz dziki ogród.....	94
Wojna państwa Kawaguchi.....	98
Pani Sawa.....	106
Lekcja z panią Sawą.....	113
Prawdziwa twarz pani Sawy.....	118
Tajfun zwany Sawą.....	122
Jak widział mnie mąż.....	132
Choroba męża.....	143
Nieszampański sylwester.....	164
Higiena Japończyków i problem z toaletą.....	167
Stereotypy o Polakach i nie tylko.....	178
Dentysta.....	194
Śniadanie po europejsku i głupie dialogi przy kawie.....	202
Jak w pociągu nogi krzyżowałam.....	208
Chłopak z tatuażem.....	218
Co mój mąż o gejszach myślał.....	223
Jak nauczyliśmy się siebie nawzajem.....	229

Najgłupsza z najgłupszych	238
Chrześcijananie i polski kościół	264
Podróż do Polski.....	272
Powrót do Japonii	294
Jak zostałam opiekunką do dzieci	296
Rodzina Czubaków.....	298
Souya i Tatsuro.....	309
Opieka nad Kosuke	317
Restauracja u Chyaki.....	326
Obrzydliwe insekty.....	330
Wizyta w japońskim szpitalu	335
Przyjaciele Hindusi	344
Jak nie umiałam grać w golfa	348
Obskurne japońskiebanki i urzędy	352
Psychicznie chorzy	354
Ostracyzm po japońsku.....	360
Sprzedaż domu.....	404
Mój przyjaciel Opel i pożegnanie z Japonią	410
Bibliografia	420

Początek

Trafiłam do Japonii, będąc już po trzydziestce. Pełna obaw, ale też nadziei, że na pewno przeżyję tam niezapomnianą przygodę. Zanim jednak dotarłam do Kraju Kwitnącej Wiśni, żyłam w przekonaniu, że zostanę w nim do końca życia: miałam wygórowane ambicje, dalekosiężne plany i dobre chęci, żeby zasmakować zupełnie obcej dla mnie kultury.

Rzeczywistość jednak nie okazała się taka, jak ją sobie wyobrażałam. Bez przyjaciół, rodziny, znajomych oraz bez podstaw znajomości języka każdy dzień w tym obcym dla mnie miejscu stawał się prawdziwą walką o przetrwanie. Musiałam nie tylko walczyć o to, żeby jakoś skomunikować się z resztą lokalnej społeczności, która nawet w najmniejszym stopniu nie chciała lub nie potrafiła porozumiewać się w języku angielskim, ale również o to, żeby w ogóle zostać wysłuchaną. Jako biała kobieta, która przybyła z daleka, byłam często lekceważona i traktowana jako ta gorsza, która nie zrozumie i nigdy nie oswoi się z zasadami japońskiej kultury.

Powoli zaczynałam uczyć się setek reguł, które dla japońskich kobiet nie były niczym szczególnym ani nowym. Od dziecka wiedziały, jak się kłaniać, jak podawać do stołu, jak odpowiednio się poruszać, a nawet jak ściągać obuwie.

Przyzwyczajenia, jakie wyniosłam z mojego europejskiego stylu życia, były często silniejsze ode mnie i nie zawsze potrafiłam je kontrolować. Nie mogłam nigdy poczuć się tam swobodnie, ponieważ był jeden szczegół wyróżniający mnie spośród tysięcy turystek odwiedzających rokrocznie Tokio: byłam żoną Japończyka, a to oznaczało, że musiałam zachowywać się tak jak reszta małej społeczności, do której należałam. Gdybym się zbuntowała i jeślibym postanowiła pozostać sobą, ucierpiałaby na tym pozycja oraz reputacja mojego męża, z którym owa społeczność nie chciałaby mieć odtąd żadnych bliższych relacji. Dlatego pilnie słuchałam jego rad i przyswajałam

wiedzę, którą próbował mi przekazać, a dni spędzone na prowincji, z dala od Tokio, przeplatały się na przemian z radością i smutkiem otaczającej mnie zewsząd rzeczywistości.

Ta książka nie jest sentymentalną historią o Europejce, która wyjechała do Japonii, żeby jeść sushi i pić zieloną herbatę oraz żeby podziwiać otaczające ją krajobrazy. To książka o białej kobiecie, która pełniła tam różne role: niedoświadczonej opiekunki nieokielzanych i bezczelnych dzieci, niepewnej swych umiejętności nauczycielki języka angielskiego, która tak naprawdę sama nie potrafiła płynnie posługiwać się tym językiem, i w końcu zdanej wyłącznie na siebie żony opiekującej się chorym mężem. Choć miałam wybór i nie musiałam pracować, to w przeciwieństwie do milionów japońskich gospodyń domowych, samo moje pragnienie bycia niezależną było silniejsze od świadomości tego, że w każdej podjętej przeze mnie pracy mogłam się spotkać ze złym traktowaniem i poniżeniem.

Tytuł tej książki nie jest przypadkowy, ponieważ odnosi się w zasadzie do całego okresu mojego życia w Japonii i zawiera w sobie wszystko to, o czym nieśmiało chciałabym powiedzieć.

Jedna z reguł, jakich przestrzegają Japończycy, dotyczy tego, w jaki sposób spożywają ryż, do którego mają niewyobrażalny szacunek. Ryż, podany w miseczce i spożywany przy użyciu obcych w mojej kulturze pałeczek, należy zawsze zjeść do samego końca, do ostatniego ziarenka. Była to jedna z zasad, których mój mąż wybitnie przestrzegał i bardzo dbał o to, żebym ja również stosowała się do tej żelaznej reguły. Problem polegał na tym, że ja nie lubiłam ryżu i za każdym razem musiałam wykazać się wręcz nadludzkim wysiłkiem, żeby zjeść go do samego końca.

Tak jak przy wspólnym obiedzie z mężem musiałam udawać, że życie w Japonii sprawia mi nieopisaną radość i że rozmowy z nim są zawsze ciekawe i budujące, tak samo – z kłamstwem na ustach i z zachowaniem najwyższych pozorów – budowałam wokół siebie iluzoryczną rzeczywistość, którą coraz bardziej akceptowałam, ale coraz mniej rozumiałam.

Od pierwszych chwil spędzonych w tym kraju szybko zorientowałam się, że każdy dzień będę musiała z trudem przetrwać i dokończyć, tak samo jak rozpoczęty posiłek: **do ostatniego łyka zielonej herbaty, do ostatniego ziarenka ryżu...**



Ambasada

– Ja cię od początku podziwiałam. To był zdecydowanie skok na głęboką wodę. W zasadzie na najgłębszą – taki był komentarz mojej przyjaciółki Beaty, kiedy dowiedziała się, że wyprowadziłam się do mojego narzeczonego do Tokio. Pikanterii dodawał fakt, że nie tylko nie znałam dobrze samego mężczyzny, z którym zdecydowałam się spędzić resztę życia, ale nie miałam również pojęcia o tak obcej mi kulturze, a także o języku, którego brzmienie potrafiłam odróżnić od chińskiego i na tym w zasadzie kończyła się jego znajomość.

– Nie mylcie odwagi z brawurą – mówiłam potem do moich przyjaciół, śmiejąc się, kiedy po kilku latach zorientowałam się, jak lekkomyślna była to decyzja.

Mój przyszły mąż miał bardzo typowe, japońskie nazwisko i szybko się przekonałam, że Tanaków jest w Japonii na pęczki, tak samo jak w Polsce Kowalskich albo Nowaków. *Tanaka* oznaczało po japońsku „środek pola ryżowego” i było dla mnie jasne, że przodkowie mojego męża z linii ojca, raczej nie byli samurajami. Jego imię z kolei było bardzo rzadkie. Miał na imię *Hayato*, co znaczy po japońsku w wolnym tłumaczeniu: szybki człowiek. Ojciec mojego partnera nadał mu takie imię, ponieważ był zafascynowany sportową rywalizacją i bieganiem. Mąż nosił je z dumą i wyraźnie protestował, kiedy próbowałam przyporządkować jego imieniu jakiś polski odpowiednik i starałam się nazywać go Heńkiem.

Mąż porozumiewał się ze mną wyłącznie w języku angielskim i być może była to jedna z przyczyn, z powodu której nie chciałam uczyć się japońskiego. Moje ambicje były na początku co prawda prawie tak ogromne jak mój apetyt na słodczyce, ale z czasem malały na rzecz zupełnie innych rzeczy, które zaczęły mnie interesować.

Hayato mówił po angielsku całkiem przyzwoicie i najbardziej cieszyłam się z tego, że mogę go zrozumieć. Japończycy, którzy próbują uczyć się tego

języka, mówią bowiem z tak twardym akcentem, że nikt normalny nie jest w stanie ich zrozumieć i zawsze mam nieodparte wrażenie, że oni sami nie wiedzą często, co mówią. Mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni, jeżeli już mają jakąkolwiek styczność z językiem angielskim, są zazwyczaj doskonali w rozwiązywaniu testów gramatycznych, ale z budową zdań i z wymową zupełnie sobie nie radzą. Dlatego mój mąż, który potrafił budować zdania i mówił do mnie w sposób jasny i wyraźny, bez ciężkiego, japońskiego akcentu, był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Oczywiście parę razy doszło między nami do kilku nieporozumień, które tworzyły sytuacje tak śmieszne i nedorzeczne, że nawet dziś nie mogę powstrzymać się od śmiechu, gdy opowiadam o nich znajomym. Mogę jednak śmiało powiedzieć, że wzajemna komunikacja przebiegała między nami dość szybko i sprawnie, choć często udzielaliśmy sobie informacji w postaci: „Zaczekaj, muszę sprawdzić w słowniku”.

Do dziś pamiętam, jak któregoś dnia małżonek ściągnął ubranie, stanął przede mną nagi i powiedział:

– I am going to take a bus¹.

– Aha... – Spojrzałam na niego skonsternowana. – A dlaczego jesteś nago?

– Because I am going to take a bus – mówiąc to, wzruszył ramionami i począł szukać w szafce frotowego ręcznika.

– Idziesz nago na autobus? Nic nie rozumiem. Mogę iść z tobą?

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Przez głowę przeszła mi myśl, że może jest dziś w Japonii jakiś Dzień Mężczyzn Jeżdżących Nago Autobusem, choć brałam też pod uwagę fakt, że zwyczajnie zwariował.

Hayato spojrzał na mnie z urazą, zarzucił ręcznik na ramiona, ubrał klapki i poczłapał prosto do łazienki, lekko zszokowany. Poszłam za nim, żywo zainteresowana całą sytuacją. Po cichu miałam ogromną nadzieję, że wyjdzie tak na ulicę. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, jak kupi bilet, skoro nie ma żadnej kieszeni, żeby włożyć do niej pieniądze, ale wydedukowałam, że być może w Dniu Mężczyzn Jeżdżących Nago Autobusem takie rzeczy jak bilet są całkowicie za darmo.

W końcu zrozumiałam, że Hayato zamiast powiedzieć: „I am going to take a bath”², powiedział: „I am going take a bus”. Z czasem pojęłam, że dla Japończyków różnica między angielskim „th” oraz „s” w zasadzie nie istnieje i dlatego mówili do mnie często „sankju” zamiast „thank you”, „bus” zamiast „bath”, „I sink” zamiast „I think”. Jako cudzoziemka, która sama mówiła

¹ Z jęz. ang. Idę na autobus.

² Z jęz. ang. Idę wziąć kąpiel.

z akcentem i popełniała mnóstwo błędów, miałam dużo pokory, kiedy ktoś, kto mnie nie zrozumiał, próbował mnie poprawiać. Dlatego nigdy się nie śmiałam, gdy moi rozmówcy robili błędy dużo bardziej rażące od tych, które ja popełniałam i bardzo doceniałam fakt, że jakaś osoba w ogóle próbuje ze mną się skomunikować. Nie mogłam jednak pojąć, dlaczego Japończycy nie mają pokory, ucząc się języków obcych i dlaczego raz poprawieni nie chcą się niczego nauczyć. Być może język angielski sprawiał im w wymowie taką samą trudność jak Europejczykom chiński czy koreański, i trzeba było to po prostu traktować ze szczerym zrozumieniem. Dlatego musiałam się pogodzić z sytuacją, w której mój mąż, mówiący o tym, że idzie na autobus, tak naprawdę szedł wziąć prysznic i po kilku miesiącach zamiast stale go poprawiać, po prostu do tego przywykłam.

Choć na co dzień posługiwaliśmy się językiem angielskim, stopniowo uczyliśmy się nawzajem swoich rodzimych języków: on przyswajał polskie słówka, a ja walczyłam z japońskimi znakami, które były dla mnie prawdziwą udręką. Mąż najszybciej nauczył się tych słów, których ja sama używałam, kiedy rozmawiałam przez telefon z przyjaciółmi albo z rodziną. Z dumą wplatał je w angielskie zdania jako przerywniki. Czasem krzątał się po kuchni i bardzo z siebie zadowolony powtarzał na okrągło: „dobra, dobra”, „także tego”, „o matko i córko” albo „czekaj, czekaj”. Jego japoński akcent niezmiennie mnie bawił i miałam nieodpartą wrażliwość, że równie zabawnie ja sama muszę brzmieć po japońsku. Nie poddawałam się jednak i szczerze sobie obiecałam, że rozpoczętą przygodę z Japonią przeżyję jak najlepiej i do każdego zadania, jakie się przede mną pojawi, choćby takiego jak nauka języka obcego, podejść w sposób ambitny i rozważny.



Japonią nigdy się nie interesowałam. Nie czytałam o niej książek, nie oglądałam filmów. Kraj ten nigdy nie był w moich planach podróźniczych, a fascynacja nim była u mnie na zupełnie zerowym poziomie. Jedyną rzeczą, która wzbudzała moją umiarkowaną ciekawość, była kultura Ajnów. Ajnowie byli szczepem kaukaskim, wywodzącym się z Azji Środkowej. Osiedlili się na wyspach japońskich już sześć tysięcy lat temu. Obecnie zamieszkują głównie wyspę Hokkaido. *Ajnu* w języku ajnuskim znaczy: „człowiek”, „ludzie”.

Kultura ta była dla mnie ciekawym tematem do rozważań głównie z tego powodu, że bardzo duży wkład w jej rozpowszechnienie miał między inny-

mi słynny polski badacz Bronisław Piłsudski, prywatnie brat Józefa Piłsudskiego³.

Do Japonii przyjechałam pod koniec lipca 2016 roku. Było wtedy bardzo ciepło, wręcz upalnie. Chciałam chwilę odpocząć i złapać oddech, ale od razu było wiadomo, że jest to niemożliwe. Nad moją głową wisiały, niczym japoński upiór z horroru, sprawy administracyjne. Mogłam przebywać tam bez wizy tylko przez trzy miesiące. Potem musiałam załatwić dokument, który pozwoliłby mi zamieszkać w Japonii na stałe. To, czego potrzebowałam najbardziej, to dokumenty przedmałżeńskie i akt zawarcia małżeństwa, który potem pozwoliłby mi na otrzymanie wizy od japońskiego urzędu.

Nie jestem nawet w stanie opisać, ile razy pojawiłam się w polskiej ambasadzie, ale myślę, że pracującym tam urzędnikom złożyłam wizytę przynajmniej siedem razy. Zaraz po przyjeździe sprawdziłam, w jakich godzinach ludzie, od których wszystko zależało, mogą mnie przyjąć. Strona Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Tokio nie wyglądała zachęcająco i miałam wrażenie, że nie aktualizowano jej od wielu miesięcy. Nasze odwiedziny w tym miejscu nie należały do przyjemnych, głównie z tego powodu, że mój zapracowany mąż musiał za każdym razem wziąć dzień urlopu, żeby tam dojechać. Sama podróż do ambasady z naszej dzielnicy, tylko w jedną stronę, trwała aż dwie godziny.

Za pierwszym razem zastaliśmy bramę zamkniętą na cztery spusty. Staliśmy przed nią długo i zastanawialiśmy się, co zrobić. W końcu dostrzegłam małą, boczną bramkę, z domofonem w tle. Nacisnęłam na dzwonek. W domofonie odezwał się męski, mechaniczny głos, który brzmiał jak robot. Przez kilka sekund czułam się tak, jakbym gadała z bramą.

– Słucham – wycedziła smętnym i obojętnym tonem brama.

– Dzień dobry. Jestem Polką i razem z moim przyszłym mężem chciałybym załatwić sprawę administracyjną. Czy możemy wejść?

– Oczywiście, że nie. Dziś ambasada jest zamknięta, proszę pani – odpowiedział nieuprzejmy głos.

– Aha... – Zdębiałam przyklejona do metalowego ogrodzenia. Próbowалам niepewnie się bronić i wymusić na bramie zmianę decyzji.

– Wie pan, to dziwne... Przeczytałam na stronie ambasady, w Internecie, że dziś obsługują państwo interesantów.

– Nie, proszę pani. To pomyłka – odparł podirytowany głos. – Nie wiem, jakie informacje widnieją w Internecie, wiem, co jest napisane na naszej bra-

³ Józef Piłsudski (1867-1935) – polski polityk, pierwszy marszałek i dwukrotny premier Polski.

mie głównej. Są tam wyraźnie podane dni oraz godziny przyjęć.

– A... to znaczy na tej drugiej bramie? Bo ta, przy której teraz stoję, nie jest główną, tak?

– Tak, proszę pani – odparł zniecierpliwiony Japończyk.

Odwróciłam się do męża i pokiwałam głową. Byłam bardzo zawiedziona.

– O sprawach urzędowych w polskiej ambasadzie decydują żelazne bramy. Zapomnij o wszystkim, co przeczytasz w Internecie – rzuciłam z przekąsem.

Nie chciałam spierać się z tym niemłym człowiekiem, choć miałam wrażenie, że powinien jednak znać stronę internetową miejsca, w którym pracuje. Tutaj, w obcym kraju, byłam skazana na łaskę nieuprzejmych urzędników i dlatego pewne komentarze wolałam sobie odpuścić.

– Dziękuję panu za informację – odparłam na odchodnym.

– Do widzenia – odparła żelazna brama, wyraźnie ukontentowana, że pozbyła się mnie na dobre.

W ciągu mojego trzyletniego pobytu w Japonii, w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Tokio byłam wiele razy. Te wizyty przypominały mi trochę znany serial pt. „Alternatywy 4”. Jeden z bohaterów starał się w nim o mieszkanie i za każdym razem, kiedy przychodził z kompletem dokumentów – pewny siebie, że zrobił wszystko, co do niego należało – okazywało się, że zawsze mu brakowało jakiegoś papierka. Dokładnie tak samo czułam się, załatwiając w Japonii jakiegokolwiek sprawy urzędowe i muszę przyznać, że wyglądało to ludzako podobnie. Mianowicie: zawsze czegoś brakowało.

Raz jeden pani w ambasadzie poinformowała mnie, że muszę się postarać o nowe świadectwo urodzenia. Uważała bowiem, że Polska Rzeczpospolita Ludowa nie istnieje i że – jak to określiła: „Nie ma takiego kraju”. Załamana i gotowa spalić tę całą ich budę, zadzwoniłam do rodziców w Polsce, błagając ich na kolana, żeby poszli do urzędu i postarali się dla mnie o nowe świadectwo urodzenia z aktualną nazwą kraju. W tej sprawie nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie fakt, że piskliwa Polka pracująca w ambasadzie w Tokio nie powiedziała mi tego wcześniej, kiedy dzwoniłam do niej z Polski z zapytaniem, czy wszystkie dokumenty, które skompletowałam, są na pewno akceptowalne.

Kiedy w końcu dostarczyłam już nowe świadectwo urodzenia, zamiast Polki, która odeszła na zasłużoną emeryturę, zostałam w okienku Japonkę. Ta z kolei, na przekór szalonej rzeczywistości, starała się załatwić wszystko należycie i z ogromną korzyścią dla nas. Dziewczyna pracowała wolno, ale rzetelnie i przyzwoicie. Oprócz tego, że moje świadectwo ślubu wysłała potem do Polski, do Urzędu Stanu Cywilnego znajdującego się w zupełnie innym

mieście i w innym województwie, nie można jej było niczego zarzucić. Widocznie drugi człon nazwy mojego miasta brzmiał dla niej prawie tak samo. W słowach „śląskie” oraz „wielkopolskie” nie zauważyła różnicy.

– Ale o co chodzi? – Mąż wybałuszył na mnie oczy, czując się wyraźnie zignorowany. – Dlaczego nie otwierają? Czemu nie wchodzimy?

– Bo nie możemy. Musimy przyjechać za tydzień, w środę. Przyjmują interesantów między dziesiątą rano a dwunastą.

– Czekaj... Nie rozumiem... Jak to?! – Mąż zdrętwiał i patrzył na mnie przez chwilę wzrokiem mordercy.

– Dziś jest nieczynne – odparłam i czułam, jak powoli zaczyna burczeć mi w brzuchu.

– Jak to nieczynne? Przecież sprawdziłaś w Internecie, że właśnie jest czynne. – Hayato wdrapywał się powoli na Himalaje wściekłości.

– No tak, ale w Internecie są podane inne dni i godziny. Trzeba brać pod uwagę to, co jest na bramie.

– Ale ja nie mogę przyjechać za tydzień!

Mąż wyglądał na tak zdeterminowanego, że przez chwilę zastanawiałam się, czy nie pobiec kupić mu jakiś ciepły koc. Zanosilo się na to, że w imię protestu zamierza nocować przy słynnej już bramie, a noc mogła okazać się chłodna.

– Słuchaj Hayato, nic dziś nie załatwimy, uwierz mi na słowo. Ja też nie za bardzo rozumiem, jak działa ta cała biurokracja, ale fakt jest taki, że za tydzień musimy znowu tu przyjechać. – Spojrzałam na niego z rozkojarzeniem. – Mam ochotę na obrzydliwego i tłustego hamburgera z McDonald’s. Możemy już sobie stąd pójść?

Mąż patrzył na mnie jak na Pigmeja mówiącego po pigmejsku.

– Żeby dowiedzieć się, w jakich godzinach czynna jest wasza ambasada, ja mam przyjechać i przeczytać to sobie na jakiejś durnej bramie? To jakiś absurd! Pierwszy raz słyszę o czymś takim. Mamy Internet, XXI wiek. Takie informacje powinny być aktualizowane! Jak powiem o tym jutro chłopakom w robocie, to mi normalnie nie uwierzą... – żalił się, drepcząc za mną w górę ulicy jak uparta kozica. – Wiesz, co mi to przypomina? „Dwanaście prac Asterixa” i „Dom, który czyni szalonym”!⁴ Pamiętasz, jak Asterix latał z Obelixem po wszystkich piętrach, żeby załatwić sobie jeden papier? I jak zawsze czegoś brakowało? Jak miał już jeden papier, to zaraz potrzebny był następny,

⁴ Nazwa urzędu, w którym Asterix miała wykonać jedną ze swoich prac.

który był przepustką do jeszcze kolejnego. Ale na końcu postanowił pokonać urzędników ich własną bronią i wymyślił sobie na poczekaniu nazwę nieistniejącego zaświadczenia. To go uratowało.

– Pamiętam, pamiętam, to moja ulubiona część przygód Asterixa i Obelixa. I wtedy to nawet było śmieszne – odparłam i czułam, jak powoli opadam z sił.
– Przygotuj się na to, że z polską ambasadą będzie znacznie trudniej.

– Jak to?! – krzyknął mi do ucha.

– Bo mam jakieś dziwne przeczucie, że skoro tak funkcjonuje ta cała ich informacja o godzinach przyjęć, to z papierami nie będzie lepiej. Poza tym, w przeciwieństwie do Asterixa, z polskim urzędem nie wygrasz.

– W jakim sensie? – dopytywał ze stopniowo rosnącym przerażeniem mąż.

– W takim, że będziemy biegać za różnymi pieczętkami jak Asterix i Obelix, ale z tą różnicą, że oni biegali po piętrach budynku, a my będziemy biegać po całym mieście. Analogicznie Asterix to ty, a Obelix to ja: wiesz, ten zawsze nienazarty, z brzuchem.

– Boże, nie strasz mnie, bo ja tego nie przeżyję! Jestem za stary na takie urozmaicanie mojego monotonnego życia.

– Nie straszę. Udzielam ci właśnie wykładu. Jego temat to: „Podstawy polskiej biurokracji”. I otwarcie zapraszam do dyskusji, bo ponarzekać zawsze można.

– No, ale przecież to jest głupie! – Mąż zmarszczył brwi. Czułam, jak jego wzburzenie rośnie proporcjonalnie do rewelacji, jakich mu właśnie dostarczam, a jak powszechnie wiadomo, japońska twarz wyrażająca jakiegokolwiek emocje, jest w przyrodzie ewenementem.

– Chcąc załatwić sprawę urzędową w polskiej ambasadzie, muszę zwolnić się z pracy, co w Japonii nie jest takie proste. Przyjechać tu trzema pociągami przez pół miasta, zastać placówkę zamkniętą, a potem spisać sobie godziny urzędowania z bramy!? To Japończykowi nie mieści się w głowie. Nie, czekaj! To dla... nikogo nie jest normalne! – kontynuował zażarcie mąż, aż w pewnym momencie przestałam go słuchać.

Powoli przygotowywałam się psychicznie na to, że dzielnicę Meguro odwiedzę jeszcze wiele razy. Teraz jednak byłam tak głodna, że wszelkie rozważania połączone z logicznym myśleniem zostawiłam sobie na któryś z upalnych letnich wieczorów, jakie ostatnio zawisły nad Tokio...



Ślub

Za mojego narzeczonego wyszłam za mąż po roku znajomości. Nie byłam pewna, czy tego chcę, ale on był tak uparty, że w końcu się zламаłam. Hayato poznałam dzięki mojej przyjaciółce Ayi, kiedy któregoś upalnego lata poleciałam do Japonii, żeby ją w końcu odwiedzić. Przyszła z nim na jedno z naszych spotkań i przedstawiła jako kolegę z byłej pracy.

Muszę przyznać, że na początku mąż nie podobał mi się wcale i to chyba głównie dlatego, że wyglądał tak, jakby zatrzymał się w latach czterdziestych. Jego płaszcz, chyba żywcem zdarty z jakiegoś żołnierza walczącego na froncie podczas drugiej wojny światowej, pachniał niemodnymi perfumami, które skutecznie miały maskować zapach naftaliny. Pomyślałam sobie jednak o moim przyjacielu Michale, który opowiedział mi kiedyś historię znajomości jego rodziców. Jego ojciec tak długo chodził za jego matką, aż ta w końcu się poddała i mu uległa. Powiedział wtedy do Michała, że mężczyzna musi się zakochać, a kobieta przekonać. O ile nie było wątpliwości, że mój mąż zakochał się od pierwszego wejrzenia, ja musiałam na niego spojrzeć ze sto razy, żeby się po prostu przekonać. Był przystojny, miły, dobrze wychowany i hojny, ale ja chyba miałam inne wyobrażenia o tym, jak mój przyszły mąż powinien wyglądać. W końcu jednak uległam niczym mama Michała i stwierdziłam, że jakiś tam płaszcz z drugiej wojny światowej nie powinien stać na drodze ku mojemu szczęściu.

Nasz ślub był tak inny od tych, o których słyszałam od moich zamężnych koleżanek, że do dziś ta wątpliwego uroku ceremonia wywołuje uśmiech na mojej twarzy, i mam wrażenie, że czasem zapominam, że jestem mężatką.

Hayato nigdy mi się nie oświadczył. Nie było klękania w wysokiej, japońskiej trawie, pierścionków z diamentem i wyznań o nieśmiertelnej miłości. Zamiast tego był bilet do Tokio, spacer z psem, sprawy urzędowe i coś, co dziś trudno mi nazwać ślubem.

Mąż kupił obrączki przez Internet, zanim jeszcze przyjechałam do Japonii. Chciał, żeby moja obrączka była wyjątkowa. Myślę, że w ten sposób zrehabilitował się na rzecz nieistniejącego zaręczynowego pierścionka. Na moim palcu wyładował dyskretny kawałek złota z wygrawerowanym, widocznym imieniem oraz z białym kamieniem przytwierdzonym do krótkiego łańcuszka. Na stronie wewnętrznej obrączki pojawiła się potem data ślubu i dedykacja od ukochanego.

W dniu ślubu ubrana byłam w najlepszą sukienkę, jaką tylko mogłam wytargać ze szpargałów przywiezionych z Polski. Nie miałam żadnej szczególnej biżuterii, tipsów czy sztucznej opalenizny. Nie byłam u fryzjera, a nieudolny makijaż zrobiłam sobie sama. Nie zdążyłam całkiem się umalować, więc resztę kosmetyków próbowałam upchać do pokaznej torebki. Moje przygotowania trwały raptem pół godziny i to włącznie z prysznicem, ale dla mojego męża była to wieczność:

– Dlaczego to tak długo trwa? Po co ci ta wielka torba?! Are you going to Burkina Faso tomorrow⁵?

– Dlaczego akurat do Burkina Faso i dlaczego akurat jutro? – próbowałam rozgryźć problem.

– Bo tak wyglądasz. Nieważne, wychodzimy. Urząd otwierają za pół godziny. Musimy być tam pierwsi. Nie chce mi się potem czekać w kolejkach...

– Nieźle się wystroiłam – rzuciłam za mężem, przekręcając kluczyk w zardzewiałym zamku naszych ciężkich drzwi. – Czuję się jak *karayuki-san*⁶ i to na własnym ślubie...

– Nieważne, nie pozwól mi na siebie czekać. Wiesz, że tego nie znoszę... – Mąż trzasnął z impetem drzwiczkami od naszej żelaznej bramki.

– Kupiłam wczoraj maseczkę, podobno jakieś koreańskie чудо. Jak wyglądam?

Próbowałam dogonić męża, który gnał przed siebie, jakby przede mną uciekał. Było mi przykro, że w tak ważnym dniu nie doczekałam się od niego żadnego komplementu.

– The same. No meaning⁷ – spojrzał na mnie obojętnie.

– Różnica to by musiała być chyba tylko z operacją plastyczną. Nie licz na cuda – wyzłościwiłam się.

⁵ Z jęz. ang. Jedziesz jutro do Burkina Faso?

⁶ Z jęz. jap. – określenie na japońskie prostytutki wysyłane z Japonii do innych krajów azjatyckich pod koniec XIX i na początku XX wieku.

⁷ Z jęz. ang. Tak samo. Nie ma różnicy.

– Nie stawiaj takich wielkich kroków. Staraj się chodzić z gracją – mówiąc to, odwrócił się i spojrzał na mnie krytycznie.

– A ty tak nie pędź! Nie jestem cielakiem, co łązi za krową.

– Dobra, dobra. A ty nigdy nie trzymaj w Japonii rąk w kieszeniach. Jesteś kobietą, a kobiecie nie przystoi. – Hayato prześcigał się ze mną we wzajemnych oskarżeniach.

– A w zimie, co mam robić? – Mocno się wystraszyłam.

– Od czego są rękawiczki? Chyba nie ma prostszego rozwiązania – odburknął.

Po dziesięciu minutach, zziązani i spoceni wpadliśmy na dworzec. Oczekiwanie na pociąg nieco się wydłużyło, więc z nudów zaczęłam machać kluczem od domu, uwieszonym na długiej, czerwonej tasiemce.

– Joanna, co ty wyprawiasz? W Japonii tak się nie robi! – Mąż dawał mi kolejną lekcję dobrych manier, dzięki której miałam się przystosować do całkiem nowej dla mnie rzeczywistości.

– Nic nie robię, z nudów macham kluczem!

Powoli traciłam cierpliwość. Mąż od samego rana tak wiele razy zwrócił mi uwagę, że coraz bardziej przestawało mi się to podobać.

– Tu się tak nie robi! Wygląda to tak, jakbyś stała i czekała na klienta! Widziałas, żeby japońskie kobiety czymkolwiek machały innym przed nosami!?

– W porządku... – odparłam skruszona, chowając klucz do mojej starej, dziurawej torebki.

Musiałam przyznać mu rację, ponieważ nigdy nie widziałam Japonki zachowujących się w taki sposób. Moje europejskie przyzwyczajenia, dzięki którym czułam się bardzo swobodnie, były jednak tak silne, że czasem pewne rzeczy robiłam nieświadomie: wystukiwałam obcasem rytm znanej mi piosenki podczas jazdy autobusem, cichutko pogwizdywałam przy robieniu zakupów, nuciłam przy obiedzie, wchodziłam po schodach co dwa stopnie, zjeżdżałam po poręczy, siadałam na kanapie po turecku, rzucałam się mężowi na szyję w miejscach publicznych oraz rzecz jasna, machałam z nudów kluczem od domu. Tych wszystkich spontanicznych czynności jako żona Japonczyka robić nie mogłam i dlatego musiałam nieustannie się kontrolować. Nikt nigdy mi nie powiedział co prawda, że nie mogę w Japonii nieelegancko wchodzić po schodach albo namiętnie całować męża, ale bardzo szybko zorientowałam się, że Europejki, które nie chcą się dostosować i zachowują się tutaj dużo swobodniej, niż im wypada, stają się często obiektem żartów, plotek, kpin i wiecznego naśmiewania ze strony rdzennych mieszkańców.

W kraju takim jak Japonia lepiej było się przystosować i zachowywać jak reszta urodzonych tu kobiet, niż pozwolić na to, żeby mój mąż poprzez moje nieeleganckie zachowanie okrył się wieczną hańbą i wstydem.

W końcu pociąg nadjechał. Nie miałam pretensji do losu, że zamiast wypasionej limuzyny prosto do urzędu powiozły nas, jak zwykle niezawodne, japońskie koleje i jedyne, czego żałowałam, dotyczyło tylko tego, że na naszej skromnej ceremonii nie było dosłownie nikogo... Nawet świadków.

Bardzo szybko dowiedziałam się bowiem, że na tego rodzaju uroczystościach wystarczą jedynie ich podpisy. Było to dla mnie niedorzeczne, albowiem świadek na tego rodzaju wydarzeniu, wszak najważniejszym w twoim życiu, winien zjawić się osobiście. W Japonii nie było z tym żadnego problemu, podobnie jak z podpisami małżonków, które składało się w formie pieczętek, zwanych *inkan*. Wygrawerowane jest na nich nazwisko ich posiadacza. Bez tych pieczętek wszelkie dokumenty są nieważne. Do dziś nie wiem, kim byli ci ludzie, choć mąż przekonywał mnie zażarcie, że fizycznie istnieli i że byli pracownikami z jego firmy, z którymi nigdy nie napił się nawet piwa.

W pociągu próbowałam poprawić makijaż i przypudrować się nieco. Przypomniałam sobie jeszcze o tuszu do rzęs, który był niewątpliwie ważnym dodatkiem.

– Nie rób tutaj tego! Już trudno, tak zostaw. – Hayato spojrział na mnie z gniewem. – To w Japonii bardzo niekulturalne. Tylko dziewczyny z nizin społecznych tak robią.

Posłusznie włożyłam kosmetyczkę do torebki. Przestałam przejmować się tym, jak wyglądam. Ci ludzie, którzy mieli mnie tego dnia ujrzeć i tak byli dla mnie obcy. Mało ich obchodziłam. Z torebki wyjęłam miętowego cukierka, którego na początku zaczęłam ssać, a potem chyba z nerwów, gryźć.

– Przestań! – mąż po raz kolejny zwrócił mi uwagę. – Kulturalna kobieta nie gryzie cukierków.

– Nie mogę ich gryźć?

– Nie! Tylko prawdziwa suka tutaj tak robi. Musisz je ssać.

– A guma do żucia?

– Odpada!

– Nie mogę żuć?

– Nie, tylko w domu możesz. Tutaj gumę publicznie żują tylko Chinki...

– Jesteś starej daty... – westchnęłam.

Jeżeli Japonki rzeczywiście nigdy nie gryzły cukierków i nie żuły gumy, to widocznie ja spotykałam na swojej drodze wyłącznie obcokrajowców albo

wyżej wspomniane suki, bo takie sytuacje widywałam tutaj na każdym kroku i byłam przekonana, że mój mąż wyolbrzymia.

Kiedy weszliśmy do urzędu, rzuciłam wytwornym żartem w stronę przyszłego małżonka:

– Zawsze spodziewałam się, że mój ślub będzie skromną kartą w moim życiorysie, ale nigdy bym nie przypuszczała, że nie będzie na nim nikogo. – Zachichotałam.

Żart raczej męża nie rozbawił. Siedział na krześle w poczekalni, jakby pokłnął kij od szczotki. Wyglądał na wystraszonego i mocno skupionego.

Na ekranie monitora ukazał się nasz numerek. Byliśmy kolejnymi petentami, których należało obsłużyć.

Młoda urzędniczka przygotowała stertę papierów do podpisania. Uwijała się sprawnie i szybko z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależało jej życie. Przeszło mi przez myśl, że głupio by było, gdyby nam tak znienacka zemdlą, ale z drugiej strony świadkami tego rodzaju drobnego skandalu pozostaliby i tak ludzie zupełnie niepowiązani z naszą sprawą. Wynikało to głównie z tego, że obsługiwano nas w jakiejś dużej, przestronnej sali, który pełniła funkcję całego urzędu. Nie było wydzielonych boksów, tylko biurka, przy których siadało się naprzeciwko obsługującego urzędnika. Do pomieszczenia wchodziło mnóstwo ludzi, którzy ustawiali się w kolejkach i starali się załatwić całą, męczącą ich biurokrację. Przez myśl przeszło mi, że nasz ślub wygląda tak, jakbyśmy kupowali bilet na dworcu: jedna poczekalnia z mnóstwem podróżnych, próbujących kupić bilet do najrozmaitszych zakątków kraju.

– Myślałam, że przynajmniej będziemy w jakimś osobnym pomieszczeniu. Toż to prawdziwa lawina skromności – zauważyłam, wyraźnie znudzona nowo poznanym miejscem.

– Nie przeszkadzaj – warknął Hayato. – Podpisuję ważne dokumenty.

– Proszę podpisać tutaj, tutaj i jeszcze tutaj. To pójde skserować – przerwała nam urzędniczka. Przez cały czas zwracała się do nas w języku japońskim.

Siedziałam na prowizorycznym, chwiejącym się krześle, które wyglądało, jakby za chwilę miało się rozpaść. Zrezygnowana oglądałam własne paznokcie i z obrzydzeniem stwierdziłam, że z jednego z nich odpadł lakier. Na swoim własnym ślubie nudziłam się niewyobrażalnie.

– Jak chciałaby pani mieć na imię?

Obsługująca nas kobieta wyrwała mnie z natłoku myśli.

– Mam na imię Joanna – odparłam zdziwiona.

– Tej pani chodzi o to, jak chciałabyś mieć zapisane swoje imię w dokumentach. Masz dwie opcje do wyboru: „Joana” lub „Džoana”. Chodzi o zapis w alfabecie japońskim – wyjaśnił mi mąż.

– A jak jest lepiej?

– Moim zdaniem Džoana. Japończykom będzie to łatwiej wymówić – doradził.

– To niech będzie Džoana... Skoro ludziom w Japonii ma się przez to żyć łatwiej... – westchnęłam.

Angielskiego odpowiednika swojego imienia wyjątkowo nie znosiłam. Ale mój mąż przyzwyczaił się, że nazywa mnie w ten sposób i wolałam, żeby w obcym kraju robili tak inni. Japończykom zaznajomionym z amerykańską kulturą, polska forma mojego imienia, mogłoby nastroczać pewnych trudności, a po pewnym czasie i tak nazywaliby mnie po amerykańsku.

– Świetny wybór. – Urzędniczka wyglądała na ukontentowaną. – Jeszcze muszą państwo przetłumaczyć te wszystkie dokumenty na język japoński. Nie mogę ich przyjąć w pani rodzimym języku.

– Tego nie powinien zrobić tłumacz przysięgły? – zapytałam osłupiała.

– Nie. Wystarczy, że pani to zrobi.

Urzędniczka zaskoczyła mnie prawie tak samo jak polski tramwajarz, który pewnego słonecznego dnia wyszedł ze swojej kabiny i raczył skierować uprzejme zapytanie do moich współpasażerów, w którą stronę ma jechać, ponieważ tego nie wie. Wtedy też miałam ochotę zapytać go, czy raczy żartować i czy uważa, że takie pytania są normalne. Remont trasy sprawił go w tak niesłychane osłupienie, że chłop ewidentnie nie wiedział, gdzie jedzie.

Mąż podpisywał kolejne dokumenty, które podsuwała mu dziewczyna, a ja – już oficjalnie jako Džoana Tanaka – zaczęłam nieudolnie tłumaczyć na język angielski wszystkie pisma, które otrzymałam z polskiej ambasady oraz przywiozłam z Polski, włączając w to świadectwo urodzenia, które wysłali mi rodzice. Wiedziałam, że Hayato będzie musiał przetłumaczyć te wszystkie moje brednie na swój rodzimy język i to rozdrażniło mnie chyba najbardziej. Przyklejona do niewygodnego drewnianego krzesła nie marzyłam o niczym innym jak o ucieczce z tego miejsca, gdzieś daleko, w nieznane. W końcu, zrezygnowana, zaczęłam wypisywać na kawałku papieru kompletne bzdury i skracać tłumaczenie polskiego oryginału, jak tylko się da. Przeszło mi przez myśl, że nawet jeśli w moim oficjalnym tłumaczeniu nazwę mojego ojca Twardomirem, a matkę Pulcherią, to tego i tak w japońskim urzędzie nikt nie zweryfikuje.

– Już! – Ukontentowana podałam kartkę mężowi.

– Już? To niemożliwe! – Nachmurzył się. – W polskim dokumencie widzę więcej zdań.

– Taki mamy język – odparłam ospale. – Wy też macie dziwne znaki i nikt nie robi z tego afery.

– Chyba zwariowałaś! Wszystko wiernie przetłumaczyłaś? Coś mi tu nie gra! – Mąż podejrzliwie przymrużył oczy, konsekwentnie nie dając się nabrać.

– Cały ten ślub jest jednym, wielkim żartem. Próbuję wejść w rolę. – Parknęłam śmiechem.

Hayato westchnął, spojrzał na mnie jak pies gończy na łanię, po czym po mozolnym przetłumaczeniu moich wypocin na język japoński podał bez słowa dokument niczego nieświadomej urzędniczce. Dziewczyna przyjęła tłumaczenie bez cienia sprzeciwu i poszła je skserować.

Znudzona, wyczerpana i nieopisanie głodna zaczęłam się przyglądać petentom. Każda osoba przychodziła w innej sprawie i siadała przy innym okienku. Ludzie, głównie starsi, siedzieli zrelaksowani w wydzielonej części, szumnie nazywanej poczekalnią, popijali kawę z automatu, czytali gazety lub zabawiali się rozmową. Na myśl przyszła mi nagle polska przychodnia, do której starsze panie przychodzą głównie po to, żeby sobie pogadać.

– Mam nadzieję, że szybko się z tym uporamy – szepnął mi Hayato do ucha.

– Myślisz, że ktoś jeszcze bierze dziś ślub?

– Zwariowałaś? Spójrz na nich! Kto niby? Ten stuletni dziadek z babcią?!

– A kto starszkom zabroni?

– Teoretycznie jest to możliwe. Statystycznie mało prawdopodobne – wymądrzał się Hayato.

– Wszystko załatwione! – przerwała nam urzędniczka, która wróciła z jakimiś papierami. – Bardzo państwu gratuluję. Oto gratulacje na piśmie od naszego urzędu.

– Dziękujemy! – odparliśmy zgodnie.

– I jeszcze na koniec... Mogłabym państwu zrobić zdjęcie... Na pamiątkę... Jeżeli sobie państwo życzą.

– Oczywiście, bardzo chętnie. Wolisz twoim czy moim telefonem? – zwrócił się do mnie mąż.

– Wszystko jedno, może być twoim. Potem mi wyślesz – odpowiedziałam, próbując ukryć zupełny brak zainteresowania.

– Ależ to niepotrzebne. My mamy aparat. Firmowy – podkreśliła z dumą urzędniczka. – Proszę się uśmiechnąć... *Chi-zu!*⁸ Gotowe.

Pstryknęła kilka zdjęć, które wyleciały z aparatu z szybkością światła i pobiegła wybrać jej zdaniem najlepsze.

Załatwienie naszych zaślubin zajęło nam może z półtorej godziny. Od tego momentu oficjalnie byłam mężatką. Na pamiątkę dostaliśmy zdjęcie w ramce, a w prezencie ślubnym uśmiech i uścisk dłoni pani z urzędu.

Dziewczyna ostatecznie pożegnała się z nami i zaczęła segregować stertę papierów, jaka po nas została. Zaproponowałam mężowi, że mogłabym dać jej jakiś drobiazg z Polski na pamiątkę.

– Oszalałaś? Po co? – odpowiedział, kiedy zdążyliśmy już wyjść z urzędu i wlekliśmy się ociężale w stronę przystanku autobusowego.

– Bo była bardzo miła i starała się. Pracownik, który dostanie coś w zamian za dobrze wykonaną robotę, bardziej się potem stara. To taka nagroda, docenienie jego wysiłków.

– No i co z tego? To jej obowiązek, jej praca. – Hayato wzruszył ramionami. – Za przyjęcie nawet najdrobniejszego upominku mogłaby zostać zwolniona. To jest łapówka! W Japonii twoim obowiązkiem jest wykonywać pracę dobrze i rzetelnie. Nikomu nie robisz łaski. To chyba oczywiste, prawda?

– A mały ołówek albo gumka to też łapówka?

– Tak! Nawet ta gumka, która byłyby przytwierdzona na samym czubku tego ołówka! – mówiąc to, mąż parsknął, chowając nasze zdjęcie do swojego nowego plecaka. – Nagrodą za jej pracę jest podziękowanie i uśmiech zadowolonego klienta.

– To nie jest łapówka, bo łapówkę daje się przed załatwieniem jakiejś sprawy. To tak jak z obsługą w szpitalu. Jeśli dajesz lekarzowi dobry koniak albo indyka po operacji, a nie przed, to nie jest to łapówka, tylko... podziękowanie – sprecyzowałam.

– Wy w Polsce tak robicie? – Mąż pojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Nie... To znaczy... Chyba wszędzie tak się robi... – wyjaśniłam zawstydzona. – Chyba mi nie powiesz, że w Japonii tak nie ma, panie idealny?

– Zdarza się... – mruknął. – Ale taki lekarz, raz na tym przyłapany, mentalnie traci reputację i musi zmienić zawód. Więc lekarze u nas rzadko ryzykują. W Polsce jest podobnie, prawda?

– Tak... Zwłaszcza w polityce... – rzuciłam ironicznie pod nosem.

⁸ Japończycy, na wzór amerykańskiego *cheese*, przy robieniu zdjęć mówią *chi-zu*.

Staliśmy jak dwa słupy soli na rozgrzanym do granic możliwości przystanku. Mąż zastygł w bezruchu i wlepił wzrok w rozkład jazdy autobusów.

– Dlaczego nie wracamy pociągiem? – zapytałam.

– Bo pojedziemy na obiad. Trzeba jakoś uczcić ten dzień – wyjaśnił mi mąż. – Jesteś bardzo głodna?

– Tak, bardzo!

– A co chciałabyś zjeść? Wolisz japońskie czy europejskie jedzenie?

– Europejskie, najchętniej włoskie – odpowiedziałam, nie namyślając się długo.

– Dobrze... – Hayato westchnął zawiedziony. – Zapowiada się, że dzisiejszy dzień przyjdzie nam uczcić pizzą albo sytym makaronem.

– Może pójdziemy na kompromis? I znajdziemy gdzieś pizzę z nori⁹ i grzybami, taką samą jak ta, którą kupiliśmy na festynie, niedaleko naszego domu? W taki upał chętnie napiłabym się też coli.

– Znakomity pomysł. – Mąż wyraźnie się ucieszył. – Zimna cola do picia i pizza przyrządzona na sposób japoński. The best couple, just like you and me¹⁰.

– The best couple? O czym ty mówisz?

– O niczym szczególnym. – Hayato uśmiechnął się pod nosem i pocałował mnie w czoło. – Ja jestem pizzą z nori na cienkim, pachnącym cieście, a ty buteleczką zimnej, orzeźwiającej coca-coli. Chyba nie sądzisz, że na całym świecie moglibyśmy znaleźć lepsze połączenie?



⁹ Wodorosty nori to sprasowane arkusze suchych krasnorostów. Krasnorosty myje się w czystej wodzie i układa na bambusowych deseczkach, a następnie suszy na słońcu.

¹⁰ Z jęz. ang. Najlepsza para, tak jak ty i ja.

Przygody z małżeńską wizą

Po ślubie przyszedł czas na jeszcze bardziej zaawansowane formalności. W Japonii mogłam zostać legalnie do trzech miesięcy. Potem musiałam wyrobić sobie dokument, który uprawniałby mnie do pozostania tam na stałe. Takim dokumentem była właśnie wiza małżeńska. Niestety na pomoc ambasady nie bardzo mogłam liczyć. Byli przychylni i życzliwi, ale bardzo opieszali, a ja nie miałam zbyt wiele czasu.

– Radzę pani wyjechać za granicę – zasugerowała mi uprzejmie przez telefon urzędniczka z polskiej placówki.

– Jak to za granicę? – zapytałam, nie kryjąc zdziwienia.

– Tylko do końca października może pani legalnie przebywać na terenie Japonii. Nie zdąży pani załatwić potrzebnych dokumentów. Radzę zatem wyjechać do jakiegoś pobliskiego kraju na kilka dni i wrócić. Wtedy trzymiesięczny okres legalnego pobytu zacznie się pani liczyć od początku.

– Mam wyjechać na kilka dni tylko po to, żeby wrócić? – dopytywałam z niedowierzaniem.

– Tak, zgadza się – odparła uprzejmie.

W tym wszystkim najbardziej nie mogłam pogodzić się z tym, że wszelkie formalności związane z pobytem w Japonii załatwiałam od samego początku: papiery, pieczętki, pozwolenia. Nie siedziałam przecież bezczynnie. Mój świeżo upieczony mąż dwoił się i troił, żeby zdobyć dla mnie upragnioną wizę. Ale kiedy tylko wchodziliśmy w posiadanie jednego papierka, urząd informował nas uprzejmie, że należy załatwić kolejny. To był dla nas trudny, stresujący czas.

– Zadzwoń do swojej przyjaciółki z Tajlandii i zapytaj, czy mogłabyś polecić do niej na kilka dni – zagadnął któregoś dnia Hayato po powrocie z pracy.

Zastygłam w bezruchu nad zlewem, nad którym odcedzałam makaron.

– Jak to? Naprawdę muszę wyjechać na te głupie kilka dni?!

– Nie masz wyjścia – odparł zirytowany mąż. – Dostałaś takie polecenie z ambasady. Nie wolno przebywać ci nielegalnie w Japonii nawet jeden dzień. Wyjedziesz, wrócisz i trzy miesiące legalnego, bezwizowego pobytu zaczną ci się liczyć od początku, a ja będę mógł skupić się na formalnościach.

– Szkoda, że nie mogę pojechać do Nigerii. Tam też mam dobrą znajomą...

– Tak? A pamiętasz program w telewizji, jak tamtejsi tubylcy krzyczeli do japońskiej ekipy: I will kill you?

– Nie przesadzaj. Moglibyśmy odwiedzić naszą koleżankę we troje: ja, ty i nasz pies Opel.

– To chyba tylko z Opłem nie byłoby problemu. Jest czarny. Wołaliby do niego: Oh, brother¹¹.

– Ja nie wiem, kto tu jest największym rasistą w tej rodzinie.

Spojrzałam na męża krytycznie, nalewając wody do czajnika. Zielona, świeża herbata czekała cierpliwie w szafce na to, aby ktoś ją w końcu zaparzył.

– Nie zmienia to faktu, że i tak muszę pojechać do Tajlandii. O Nigerii nie ma na razie co myśleć – westchnęłam udręczona perspektywą zbliżającego się powolnymi krokami pobytu w krainie uśmiechu i to bez męża.

Pomysł z Tajlandią przyszedł nam wcześniej jako pierwszy do głowy, głównie z tego powodu, że był to jedyny kraj azjatycki, w którym miałam przyjaciół.

– Napisz do DiDi¹² już dzisiaj, to pilne – mąż próbował dokończyć rozmowę, kiedy po kolacji weszłam do sypialni. – Być może już za tydzień będziesz musiała pojechać do Bangkoku. Bilety nie są takie drogie. Odpoczniesz przez te kilka dni.

Osunął się na łóżko i wyglądał, jakby chciał umrzeć z przemęczenia.

– Wiem! Już tam byłam. Dwa lata temu – wycedziłam wściekle przez zęby.

Uwielbiałam Tajlandię. Przeżyłam tam najwspanialsze chwile w moim życiu, ale akurat w tym momencie nie miałam najmniejszej ochoty tam jechać. Byłam zmęczona i zestresowana. Dopiero co przyjechałam do obcego kraju, nie znałam jego kultury ani języka, nie zadomowiłam się wystarczająco i nie zapuściłam korzeni, a już musiałam gdzieś wyjeżdżać tylko po to, żeby wrócić dosłownie po kilku dniach.

– Wiesz? Rozmawiałem z kolegami z pracy – ciągnął, wylegując się na łóż-

¹¹ Z jęz. ang. O, bracie!

¹² Imię mojej tajskiej przyjaciółki.

ku. – Żaden nie miał takich problemów i takiej lawiny papierkowej roboty do wypełnienia. Ich żony to Chinki, Filipinki, Koreanki. Wszystkie szybko dostały wizy. Nie było takich utrudnień.

– Może kraje europejskie mają trudniej? – próbowałam dociec. – W końcu to inny kontynent.

– Z tego, co się orientuję, to tylko Polska ma trudniej. Zupełnie nie wiem, dlaczego. – Mąż był bezlitosny.

– Bo jesteście wyjątkowi. – Próbowałam żartobliwie zakończyć nasz dialog i znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie, dlaczego tylko my jesteśmy tymi wybrańcami, którzy mają starać się bardziej niż inni.

Byłam zmęczona, załamana i bezradna. Obiecałam sobie jednak, że na przekór nawarstwiającym się trudnościom, każdy dzień w Japonii będę dobrze zaczynać i dobrze kończyć, i że będę się uśmiechać najpromienniej, jak tylko potrafię, choćby przez łzy.



Już nazajutrz od czynności domowych oderwał mnie dźwięk telefonu. Dzwonił mąż i na szczęście miał świetne wieści:

– Słuchaj, może nie będziesz musiała jechać do Tajlandii. Załatwiłem prawnika, który zajmie się kompletowaniem dokumentów wizowych. Będę mu musiał zapłacić czterdzieści tysięcy jenów.

– To co mam robić?

– Nic, czekać. Porozmawiamy, jak wrócę z pracy.

– Okej, do zobaczenia. Dziękuję – dodałam z ulgą i rozłączyłam się. Jeden problem miałam już za sobą. Nie musiałam jechać do Tajlandii. Przeczuczywałam jednak, że na miejscu jednego pojawią się następne.

Mąż wrócił późnym wieczorem ze stertą papierów:

– Musimy to wszystko wypełnić, a potem mam to wysłać pocztą do prawnika – westchnął.

– O Jezu! Aż tyle?! – jęknęłam, klękając na podłodze.

– Niestety. Ale co się martwisz? To ja muszę to wypełnić. Ty tylko na końcu się podpiszesz.

Rozłożył formularze do wypełnienia na naszym małym stolyczku na nóżkach, który stał przy materacu do spania. Nie miałam czym się zająć i żeby dotrzymać mu jakoś towarzystwa, próbowałam okiełznać naszego rozwydrzonego psa. La-

brador położył się na plecach i zebrał beztriosko o smakołyki, przebijając kończynami jak mała muszka.

Mąż, pochylony nad papierkową robotą, wypełniał przy lichym świetle kolejne papiery. Na końcu każdej kartki składał swój własnoręczny podpis w *kanji*¹³. Podziwiałam jego skupienie i dokładność. Zawsze miałam wrażenie, że to cechy dominujące w charakterze każdego Japończyka. Na jego miejscu popełniłabym pewnie mnóstwo błędów.

– No, teraz podpisz się tutaj i tutaj – rozkazał.

Wyciągnęłam z mojego zielonego piórnika długopis, który przygotowałam już wcześniej. Hayato podał mi kartkę, ocierając pot z czoła.

– Tylko swoim panińskim, tak samo jak masz w paszporcie – przypomniał.

Na wszystkich dokumentach złożyłam czytelne, równiutkie podpisy i oddałam mu je bardzo z siebie zadowolona.

– Jezu, źle! – wykrzyknął.

– Co znowu źle? – Przygryzłam wargi zdumiona.

– Dlaczego użyłaś niebieskiego długopisu?

– A co to za różnica?

– W urzędowych dokumentach należy w Japonii podpisywać się wyłącznie czarnym tuszem. Mogą nam tego teraz nie przyjąć – zawyrokował zło-wieszczo.

– Ale wielki problem – parsknęłam ironicznie. – Czekaj, poprawię to czarnym długopisem, skoro tak ci zależy.

– Nie! Zostaw to już tak, jak jest – zaoponował. – To wyszłoby już w ogóle beznadziejnie. Urzędnicy pomyśleliby, że oszukujemy.

– Oj tam, daj spokój, ładnie to obrysuję. Nikt nawet się nie zorientuje.

Mąż popatrzył na mnie jak na kompletną idiotkę, pstrykając jednocześnie długopisem w prawej dłoni.

– Słuchaj, naprawdę to już zostaw. Może nam to przyjmą – westchnął. – Jutro rano wyślę to poleconym temu prawnikowi. My naprawdę nie mamy teraz czasu na to, żeby bawić się w kolory długopisów. Poza tym jutro czeka nas kolejne zadanie: musimy pojechać do miasta i narobić sobie zdjęć niczym

¹³ Kanji – pismo logograficzne, w którym każdy znak ma swoje odrębne znaczenie. Znaki te zostały sprowadzone do Japonii z Chin. Kanji nie należy utożsamiać z pojedynczymi literami alfabetu, jakie znamy w alfabecie łacińskim. Aby móc swobodnie czytać prasę i książki, należy opanować ogromną liczbę znaków. Szacuje się, że jest ich około 50 000, ale do swobodnego porozumiewania się wystarczy około 3000 znaków.

wściekle małpy.

– Dlaczego?!

– Prawnik mówił, że to konieczne. Musimy mieć około dziesięciu fotek. I wiesz, najlepiej, żebyśmy byli na każdej inaczej ubrani i żeby każda była z innej pory roku.

– Coś ty, zwariował?! – wykrzyknęłam. – Jak mamy załatwić sobie pory roku? Bo ciuchy, wyobraź sobie, to się jeszcze da. Poza tym, jak zrobić opady śniegu i deszcz?! O, i pamiętaj, że niektóre kwiaty rosną tylko wiosną.

– To nie są moje wymysły. Myślisz, że mnie to nie irytuje? Jesteśmy parą, więc urząd imigracyjny zakłada, że mamy jakieś zdjęcia zrobione na zewnątrz. Musimy udowodnić, że znaliśmy się wcześniej i że nasze małżeństwo nie jest mistyfikacją.

– A czy każda para musi mieć fotki robione na zewnątrz – krzyczałam dalej. – Myślisz, że normalne pary mają wspólne zdjęcia, jak stoją w śniegu po kolana i lepią bałwana?

– Ale to nie ja wymyśliłem! – Hayato zaczął wrzeszczeć głośniejsze ode mnie.

– Kieruj pretensje do cesarza Japonii!

– Cesarz Japonii na pewno by tego nie wymyślił – słusznie zauważyłam.

– Poza tym, musimy mieć zdjęcia z twoimi rodzicami.

Hayato zlekceważył kompletnie moją odpowiedź.

– Z kim?!

– Z twoimi rodzicami.

– Przecież nie znasz ich.

– Ale muszę udać, że ich znam.

– Chyba sobie żartujesz... – rzuciłam beznadziejnym tonem i osunęłam się na podłogę.

– Proponuję zaczepić jakichś białych. Zrobię sobie z nimi foto i powiem, że to twoi rodzice.

– Gdzie chcesz znaleźć tutaj białych? Chyba w zoo.

– W centrum Tokio jest ich pełno, nie dramatyzuj. Zdjęcia z moimi rodzicami też są nam potrzebne – mąż dostarczał mi spokojnym tonem kolejnych rewelacji.

– Powiem ci..., że to mnie przerasta.... – otworzyłam usta i nie potrafiłam już nic więcej dodać.

– Czekaj, zadzwonię teraz do tego prawnika. Może inaczej się to załatwi.

Hayato sięgnął po telefon. Po długiej eksplozji wzajemnych uprzejmości uzyskał informację, o jaką mu chodziło. Z podziwem obserwowałam, jak na

pożegnanie kłania się słuchawce od telefonu.

– Joanna, nie jest źle. Wystarczy zdjęcie, jak rozmawiam z nimi na Skypie.

– Aha..., no to jest znacznie prostsze, ale niekoniecznie bardziej sensowne...

– Mówił, że to nie jest aż takie niezbędne, ale jeśli się uda, to biuro imigracyjne spojrzy na nas bardziej życzliwym okiem.

– Ciekawe, czy moi rodzice przeszliby u nich jako kukły wypchane trocinami... Można by je pożyczyć od naszego królika – rzuciłam zjadliwie.

– Kukły?

– Nie, trociny. Nieważne. Jutro zadzwonię do rodziców. Pogadasz z nimi chwilę, a ja cyknę ci zdjęcie – zaplanowałam ambitnie.

– Pogadam z kukłami i cykniesz mi zdjęcie?!

– Hayato, oprzytomnij! Z rodzicami pogadasz! – powoli traciłam chęć do walki o legalne papiery.

– Dobra, to stwórzmy przebiegły plan: jutro weźmiemy plecaki i spakujemy do nich... Ja wiem? Jak myślisz? Z dziesięć koszulek. No dobra, niech będzie osiem, ale nie mniej – wyliczał.

– Ciekawe skąd je wezmę? Z Polski przywozłam tylko cztery...

– Nie utrudniaj – zniecierpliwił się. – Pożyczę ci swoje albo kupimy jakieś tanie w Okachimachi¹⁴.

– A spodnie?

– Będziemy się fotografować od pasa w górę, więc spodniami się nie przejmuj. Buty też mogą pozostać te same.

– A fryzury?

– Uczeszysz się inaczej, ja mogę zostać tak samo, bo jestem mężczyzną – podkreślił.

– Pragnę cię poinformować, że porę roku mamy do wyboru tylko jedną, a mianowicie obecną – byłam bezlitosna.

– Nie przesadzaj. Znam takie jedno ładne miejsce, niedaleko stąd. Takie pole, na którym rosną bardzo wysokie kwiaty i inne badyle. Staniemy na środku tego pola, a ktoś zrobi nam zdjęcie. Przed każdym kolejnym foto, będziemy szli do toalety i zmieniali koszulki. Jest piękna pogoda, dwadzieścia pięć stopni. Wystarczy nam krótki rękaw. Pomyśl, jakie utrudnienia mielibyśmy zimą!

– I jak ciężko byłoby udawać, że jest lato! – dodałam.

– No właśnie!

– A wszystkie zdjęcia mamy mieć tylko w tych chwastach, czy jest tam coś

¹⁴ Stacja kolejowa w Tokio.

jeszcze? –próbowałam odgadnąć.

– Nie, nie możemy mieć ciągle tego samego tła. Tam jest jeszcze park, a obok ulica i restauracja. Bardzo duży wybór.

– W sumie, jakby się tak uprzeć, to mogłabym mieć zdjęcie tylko w jednej koszulce. Może jestem uboga i nie stać mnie? Codziennie wieczorem pioreę tę jedną, którą mam i rano zakładam.

– Tak... i osobę, której nie stać na posiadanie więcej niż jednej koszulki, stać by było na bilet do Tokio? – zaśmiał się mąż.

– No właśnie, nie stać mnie na ubranie, bo wszystko wydałam na bilet. Logiczne... A może ja do tej jednej koszulki jestem bezlitośnie przywiązana? Miałam kiedyś w liceum kolegę, który cztery lata przechodził w jednym i tym samym swetrze, wiesz? Więc kto mi zabroni paradować po Tokio w tej samej, sfatygowanej koszulce?

– Ale po co tak wymyślać? – Hayato ziewnął przeciągle. – Zróbmy wszystko co w naszej mocy, żeby to wyglądało jak najlepiej. A wieczorem porozmawiam z twoimi rodzicami.

– Dobra... – odparłam zrezygnowana, przystając na genialny plan małżonka.

Nazajutrz, w piękny październikowy poranek, spacerowaliśmy po rozległym parku i cykaliśmy fotki. Dzień mijał spokojnie, koszulki się zmieniały, pogoda – jak na złość – uparcie pozostawała niezmienna. W samo południe mieliśmy już z piętnaście wyreżyserowanych zdjęć, z których wybraliśmy z uwagą dziesięć, naszym zdaniem najbardziej twarzowych.

A wszystko tylko przez to, że historia naszej miłości opierała się bardziej na wspomnieniach niż na pieczołowicie sporządzonej dokumentacji fotograficznej...



Restauracje

Japonia jest krajem wielu zasad, w których – jak zdążyłam zauważyć – gubią się nawet sami Japończycy. Jednym z takich miejsc, gdzie bezwzględnie trzeba kontrolować swoje zachowanie, jest niewątpliwie restauracja.

W japońskich restauracjach zamawiałam zwykle jedno danie, a była nim *gyoza*. To japońskie pierożki, które serwuje się z warzywami albo z mięsem. *Gyoza*, obok *sushi*¹⁵, była moją ulubioną potrawą i w zasadzie można śmiało powiedzieć, że nie jadłam tam niczego innego. Podawana zawsze z ryżem i solidnie umoczona w smacznym sosie sojowym, spełniała moje oczekiwania i po pewnym czasie stała się moim wiodącym daniem obiadowym. Zadziwiające jest to, że dużo bardziej lubiłam *gyoza* kupowaną w supermarkecie, którą potem przysmażałam na patelni. Wersja restauracyjna, w moim odczuciu, zawsze smakowała gorzej.

Oprócz *gyoza* daniami, które w pełni tolerowałam, były jajecznicza na majonezie i kapusta z sosem sojowym, a także sprowadzona w XVI wieku przez portugalskich misjonarzy tempura, czyli panierowane w mące warzywa i owoce morza, które następnie smaży się przez kilka minut w głębokim tłuszczu.

Nigdy nie przypuszczałabym, że usmażenie jajek na majonezie może dać tak wyborny rezultat. Szybko odkryłam, że wiele pań domu zna w Japonii tylko taki sposób i że usmażenie jaj na czymkolwiek innym, byłoby dla nich niewyobrażalne. Wystarczy wymieszać kilka jajek z łyżeczką majonezu i wylać taką mieszankę na patelnię. Po kilku minutach otrzymać można pachnące, treściwe śniadanie, które smakuje inaczej i ciekawiej.

¹⁵ Sushi – potrawa wykonywana z gotowanego ryżu oraz surowej lub wędzonej ryby albo innych owoców morza. Specjalne przyprawy, takie jak ocet ryżowy, chrzan wasabi, marynowany imbir, grzyby oraz sos sojowy, nadają sushi odpowiedni smak. Japończycy dbają o to, aby ryby przeznaczone do przyrządzenia sushi były zawsze świeże.

Kapusta z sosem sojowym była z kolei dodatkiem do dań głównych. Należało pokroić pół główki włoskiej kapusty, wrzucić na patelnię i dodać nieco sosu sojowego i soli. Po dziesięciu minutach otrzymuje się skromny obiad, do którego wystarczy dogotować ryż i zaserwować kawałek świeżej ryby.

Prócz tych kilku smacznych dań nie znosiłam japońskiej kuchni, choć miałam świadomość, że zachwyca się nią cały świat. Większość spożywanych w Japonii potraw zaczęłam po pewnym czasie traktować zupełnie obojętnie i głównie chodziło mi o to, żeby zaspokoić głód.

Japończycy są bardzo wyczuleni na punkcie swojej kuchni i kiedy ktoś otwarcie zadeklaruje, że jej po prostu nie lubi, a nawet że nie lubi choćby jednego z jej dań, od razu staje się ich śmiertelnym wrogiem.

Swoimi spostrzeżeniami lubiłam się dzielić z moją przyjaciółką Beatą, która jako Polka była w stanie zrozumieć to, co czuję. Czasem wysyłałam jej fotografie jakichś dziwnych potraw i prosiłam o opinię, co w ogóle o tym wszystkim myśli.

– W japońskich zupach pływają czasem dziwne rzeczy – żaliłam się. – Nigdy nie wiem: połknąć to czy wypluć?

– Eeee! Wygląda jakby to były jakieś grzyby pleśniowe. Wiesz, takie co to w ciemnych piwnicach rosną na ścianach.

– Dokładnie – przytaknęłam. – Takie huby jadalne nazywają się tu *enoki*.

– Mogłabym spróbować... – rozmarzyła się Beata.

– Chyba żartujesz! Te kurze łapki z pazurami, które przyrządziła nam moja koleżanka Filipinka, też byś zjadła?

– Jadłam już świńskie ryje i uszy, więc nic mnie już nie wzruszy! – odpowiedziała odważnie Beatrycze¹⁶. – Rym! Powstał rym! – dodała z wyraźną dumą.

– Naprawdę zjadłabyś kurze łapki? – wiłam się ze śmiechu.

– Oczywiście! W dzieciństwie się nimi wręcz zażerałam! Kurze łapki, świńskie uszy i ryje. Pyszota!

Beata potrafiła rozbawić mnie tak samo jak mój mąż i robiła to często zupełnie nieświadomie. Zawsze przy tym zastanawiałam się, skąd w ich głowach biorą się takie rzeczy, ale po pewnym czasie zaczęłam wierzyć, że mają po prostu komiczny talent, z którego zupełnie nie zdają sobie sprawy, a także świetną umiejętność obserwacji otaczającego ich świata.

Przez cały czas mojego pobytu w Japonii starałam się, żeby mąż nigdy się nie dowiedział o moich kulinarnych awersjach i kiedy on z zachwytem obser-

¹⁶ Tak zwykle nazywałam moją przyjaciółkę.

wował, jak zajadam się gyozą, ja przeżuwałam kolejny kęs pogodzona niejako z losem, albowiem i tak nie miałam innego wyboru. Myślę, że lubiłam gyozę chyba głównie dlatego, że wyglądem swym łudzaco przypominała pierogi.

– Macie dużo dań opartych na kuchni chińskiej. O herbacie już nie wspomnę...

– Dobra, nie chcę tego słuchać – obruszył się Hayato.

– Chyba zamówię gyozę z sosem sojowym, tak samo jak ty – odparłam niezniechęcona jego niegrzeczną odpowiedzią.

– You have no originality. You are like Chinese: just steal ideas and copy¹⁷ – skrytykował.

Naród japoński nie znosi Chińczyków i przez kilka lat mieszkania w Tokio zdążyłam to zaobserwować. Każde dobre słowo, czuły gest w stronę Chin, były tutaj traktowane z lekceważeniem, a nawet wrogością.

– Szkoda, że nasza ulubiona restauracja, w której podają pyszną gyozę, została zamknięta... – mąż nieoczekiwanie zmienił temat.

Nacisnął na dzwonek, który miał przywołać którąś z uprzejmych kelnerek. Dzwonki w tego typu restauracjach są wszechobecne i przyzwyczyłam się do nich stosunkowo szybko.

– Jak myślisz? Dlaczego ją zamknęli? – zapytałam.

– Powodów mogło być milion. Może po prostu umarł właściciel, który znał się na rzeczy, a rodzina nie chciała już tego kontynuować – odparł, sięgając po szklankę z wodą. – Boże! Ale zimna! – wykrzyknął zniecacka i przez chwilę wyglądał tak, jakby poparzył się wrzątkiem. – Czy w tym kraju wodę z lodem muszą podawać nawet w zimie? Kto to wymyślił!?

Ja również tego nie rozumiałam. We wszystkich restauracjach, w jakich bywałam, nawet przy niskich, zimowych temperaturach, przed posiłkami obowiązkowo podawano wodę z lodem. Czasem była tak zimna, że aż mózg zamarzał. Na szczęście były też miejsca, w których lodowatą wodę zastępowano gorącą zieloną herbatą, którą można było pić bez ograniczeń.

Długo czekaliśmy na potrawy, choć miałam wrażenie, że kelnerki w Japonii i tak potrafią pracować z szybkością prawdziwego, letniego tajfunu. Żeby zabić nudę, dyskretnie obserwowałam ich pracę. Roznosiły tace z jedzeniem, czyściły wilgotnymi ściereczkami stoliki, wносиły na zaplecze brudne naczynia, zbierały zamówienia i stawały przy kasie, żeby podliczyć najedzoną klientelę. Miałam wrażenie, że robią tam wszystko i że w ogóle nie są zmęczone.

¹⁷ Z jęz. ang. Nie jesteś oryginalna. Jesteś jak Chińczyk: tylko kradniesz i kopiujesz.

Kelnerka przyniosła w końcu moją upragnioną gyozę. Tego dnia postanowiłam też zamówić sałatkę z kapusty z dodatkiem majonezu i kawałek chrupiącego kurczaka, a także zupę *miso*¹⁸, którą zaczęłam jeść dopiero po wielu miesiącach pobytu w tym kraju. Mój mąż miał zupełnie inny gust kulinarny i dużo chętniej zamawiał *rāmen*¹⁹, którego ja oczywiście wybitnie nie lubiłam.

– Nie wiem, jak wy to robicie... – powiedziałam, patrząc na Hayato z rezygnacją.

– Co? – odparł z pełnymi ustami, pochylony nad miską.

– Jak jecie *rāmen*? Przecież to bardzo gorące!

– Po prostu potrafimy. Mamy opanowaną technikę.

– Ja nienawidzę *rāmenu* chyba właśnie dlatego, że tak szybko go jecie. Trzy siorbnięcia, trzy machnięcia pałeczkami i facet wychodzi z restauracji. A ja zawsze się męczę, dmucham, kombinuję, zupa na mnie pryska, spływa mi po brodzie...

– Fakt, *gaijiny*²⁰ nie umieją tego jeść właśnie dlatego, że dmuchają zamiast siorbać.

– Bo próbują to wystudzić, ja też tak robię. Siorbanie jest bardzo niegrzeczne.

– Ale nie w Japonii.

– I to was nie parzy?

– Nie, ćwiczymy tę umiejętność od dziecka.

– Czyli macie od dziecka specjalnie do tego skonstruowany aparat gębowy... – stwierdziłam i spojrzałam na zupę *miso*. Zaczęłam ją mieszać dwiema pałeczkami. Była to pierwsza zasada, której nauczyłam się przy japońskim stole.

Któregoś dnia mąż zwrócił mi uwagę, że w Japonii kulturalna osoba miesza zupę przy użyciu dwóch pałeczek. Ja mieszałam jedną, robiąc to analogicznie do sytuacji, w której używałam łyżeczek do herbaty.

– Jedną miesza tylko szympanś – strofował mnie zaraz Hayato, kiedy zapominałam czasem o tej żelaznej zasadzie. Dlatego starałam się pilnować i pamiętać o wszystkim, czego mnie uczył.

¹⁸ Miso – zupa ze sfermentowanej soi i ryby.

¹⁹ Rāmen to rosół z różnymi dodatkami: makaronem, jajkiem, mięsem, warzywami, glonami, rybą, owocami morza itp. Potrawa przywędrowała do Japonii z Chin w XIX w. Popularne chińskie zupki są właśnie robione na wzór *rāmenu*.

²⁰ Z jęz. jap. – obcokrajowiec.

Nalałam na spodek sosu sojowego i dolałam do niego odrobiny octu. Chwycałam pałeczki i zaczęłam jeść ryż z miski. Z osobnego talerzyka wybierałam jeden po drugim zgrabne pierożki gyozy, które maczałam w sosie. Cały czas zastanawiałam się, czy stosuję się do wszystkich zasad, jakie obowiązują przy japońskim stole. Mąż, skupiony na spożywaniu rāmenu, nie zwracał na mnie początkowo uwagi. W końcu, mimochodem, spojrzął na moje dłonie.

– Joanna! Miska! – wrzasnął.

– A... no tak. Zapomniałam, że powinnam trzymać miseczkę z ryżem uniesioną w powietrzu – próbowałam się tłumaczyć. – W Polsce tak nie jemy. Nie wyobrażam sobie, żeby w Polsce trzymać tak na przykład miskę z zupą pomidorową albo...

– Ale w Japonii tak jemy. Trzymanie miski przez cały posiłek na stole i jedzenie z niej pałeczkami jest niegrzeczne – przerwał zniecierpliwiony. – I źle ją trzymasz!

– Jak to?

– Lewą ręką należy trzymać miseczkę za spód, a prawą nabierać ryż pałeczkami. Trzymasz ją stanowczo za wysoko. Złap ją za sam spód – strofował mnie dalej.

Westchnęłam i zrobiłam tak, jak mi kazał.

– Co kraj to obyczaj. W Korei na przykład... – zaczęłam nieśmiało.

– To nie Korea, Joan – nieelegancko mi przerwał. – I pamiętaj, że masz zjeść wszystko **do ostatniego ziarenka ryżu**. Możesz zostawić mięso, sałatkę albo gyozę. Ale ryż musi być zjedzony do końca. To dla nas świętość. **Nawet małe dzieci straszy się, że oślepną, jak nie zjedzą ryżu do ostatniego ziarenka.**

– Dobrze, przecież pamiętam. To u was żelazna zasada: **do ostatniego ziarenka ryżu**. Trochę jak nasze polskie, matczyne: mięso zjedz, ziemniaki zostaw.

– Co? – Hayato szczerze się zaciekawił.

– Nic – odpowiedziałam znudzona. – Tak mi się coś przypomniało...

Byłam na niego wściekła. W kraju, w którym było tak wiele zasad, zwłaszcza w stosunku do kobiet, nie mogłam się odprężyć nawet przy tak podstawowej, codziennej czynności, jaką było jedzenie. Przerwałam posiłek i zaczęłam przyglądać się ludziom.

– Joanna! Ręka! – zagrzmiał znowu niczym najgłośniejszy instrument w orkiestrze akurat w momencie, kiedy zmęczona jego licznymi uwagami, wyraźnie straciłam apetyt.

– Co tym razem?! – wrzasnęłam jeszcze dobitniej, nie przejmując się agresywnymi spojrzeniami klientów.

– Popelniasz największy błąd, jaki tylko można zrobić. Kilka wieków temu, zanim tylko zaczęłabyś jeść, od razu odcięto by ci głowę.

– Na miłość boską! Co wy, Japończycy, macie z tym obcinaniem głów?! A za co niby obcięto by mi głowę?! Bo siedzę, nie ruszam się i nie oddycham?!

– Zawsze musisz trzymać obie ręce na stole. Nie możesz ich chować. To żelazna zasada, wywodząca się z naszej tradycji.

– Przecież mam jedną rękę na stole. Tylko drugą trzymam na kolanach – wzruszyłam ramionami. – Poza tym wy w moich oczach też zachowujecie się niegrzecznie, a jakoś nikt nie zwraca wam uwagi w Europie.

– My, niegrzecznie? My zachowujemy się najgrzeczniej spośród wszystkich nacji – zarozumiale zaprotestował Hayato.

– Tak? A obrzydliwe cmokanie po jedzeniu? Mnie aż szlag trafia w pociągu, że muszę tego słuchać. Jak ci coś weszło w zęby, człowieku, to pogódź się z tym, że samo wyjdzie, a nie cmokaj na cały pociąg przez dwie godziny podróży! A używanie wykałaczek? Nie potrafię zrozumieć, jak ludzie w Japonii mogą tak otwarcie dłużyć sobie w zębach. My z tym wychodzimy w Polsce do łazienki.

– Nie zwróciłem na to uwagi. – Mąż próbował się bronić.

– A mówienie z pełnymi ustami? – Sypałam niewygodnymi przykładami jak z rękawa. – Wpychacie sobie całe żarcie do buzi jak chomiki i rozmawiacie tak z kimś, kto siedzi z wami przy stole. Ja nie wiem... Czy tego nie można chociaż trochę połknąć?! Czy trzeba koniecznie pluć na mnie tym jedzeniem?! To odrażające! Nie wspomnę już o ciągłym pociąganiu nosem. Codziennie rano, kiedy wsiadam do pociągu, nikt się nie wysmarka, tylko wszyscy pociągają nosami i to czasami z taką obrzydliwą flegmą, aż spod samego serca.

– Przestań, bo zaraz zwymiotuję! Wydmuchiwanie nosa w miejscach publicznych jest w Japonii wysoce niekulturalne. Od tego są toalety – wyjaśnił.

– Tak samo jak niekulturalne jest w wielu częściach Europy wciąganie przez cały dzień takiej flegmy. Znam sytuacje, w których moja koleżanka w Polsce wyciąga pomocną dłoń do pociągających nosem w pociągu ludzi, a mianowicie obficie częstuje ich chusteczkami. Jak sam widzisz, nikt z nas nie ma prawa tego oceniać, bo zależy to od kultury, w jakiej się wychowałeś.

– Nie przesadzaj, Joan.

Hayato niewyobrażalnie się zawstydził.

– Ja nie przesadzam, ja ci tylko pokazuję, że w każdej kulturze znajdziesz zachowania odrażające albo takie, które nie przystoją. To wszystko zależy od tego, gdzie mieszkasz. Dlatego nie mów mi, że Japończycy zachowują się najlepiej na świecie, bo tego w tym kontekście nie da się ocenić. Teraz nagle sły-

sze, że za ręce pod stołem obcięto by mi głowę i chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego. Ja tego absolutnie nie oceniam, ja tylko dopytuję! – drążyłam temat, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że podwaliny japońskiej kultury tworzyli psychopaci. Szybko zorientowałam się w duchu, że myślenie o Japończykach jak o psychopatach, było w istocie oceną. I to negatywną. Mąż na szczęście zdawał się tego nie zauważać.

– Jeżeli kilka wieków temu usiadłabyś do posiłku właśnie w ten sposób, samuraj siedzący naprzeciwko ciebie, tak jak ja siedzę teraz, sięgnąłby po miecz i obciąłby ci głowę. Jedna ręka schowana pod stołem oznaczałaby, że mogłaś schować tam broń i że – krótko mówiąc – masz złe zamiary. Osoba o dobrych intencjach pokazałaby obie dłonie i trzymałaby je na stole – odparł pouczająco.

– I za to tylko ktoś obciąłby mi łeb? – dopytywałam z niedowierzaniem, wytrzeszczając oczy jak wiejski pacholek.

– Nie tylko, ale aż za to i to zwłaszcza kobiecie – mruknął mąż, który już prawie rozprawił się z parującym rāmenem.

– A co to niby za szowinizm?! – Moja irytacja przybrała tak ogromny rozmiar, że sięgnęła już prawie restauracyjnego sufitu. – Poza tym trochę przesadzasz. *Naginatę*²¹ czy *kataną*²² to raczej ciężko schować.

– To nie szowinizm. Kobiety były w stanie więcej ukryć pod ubraniem, na przykład krótki nóż. Ich kimona miały bardzo szerokie rękawy, wprost idealne do ukrycia jakiejś broni. Potrafiły też ukrywać narzędzia zbrodni we włosach, na przykład w kokach.

– Rozumiem... – Spojrzałam z zaciekawieniem na własne dłonie. – Jeśli rozpatrywać to pod względem historycznym, jest to dość ciekawa zasada. Kilka wieków temu odcięto by mi głowę, zanim zdążyłabym siorbnąć pierwszy łyk zupy...



²¹ Naginata – japońska broń drzewcowa.

²² Katana – rodzaj japońskiego miecza.